

665F2J

6

Fot. PAMEL ULATOWSKI/AGENCJA GAZETA



Fot. RYSZARD KORNECKI



NIEZASPOKOJONA MAŁŻONKA (IWONA BIELSKA) I SFRUSTROWANY INTELEKTUALISTA (JAN PESZEK) W NIEDOBRANYM DUECIE RODZINNYM

NIEDONOSEK

Na motywach słynnej powieści Canettiego **Paweł Miśkiewicz** **zrobił imponujące... pół spektaklu**

Czegoś takiego oczy moje recenzenckie nie widziały. Oryginalny, przemysłany i rokujący jak najlepsze nadzieje spektakl od połowy zmienił się w naiwną krotkoczwłokę prowadzoną topornie, niby cudzą ręką. Kto wierzy w czary, ma jasność, że to nieprzyjaciele teatru Mikołaja Grabowskiego (ujawnieni ostatnio w znacznej sile) musieli zebrać się podczas przerwy w kłozecie, by mrucząc zaklęcia, przemienić urodziwe widowisko w rozdeptaną żabę.

PROFESOR I GOSPOSIA

Paweł Miśkiewicz podrasował „Auto-da-fé” eseistyką Eliasa Canettiego z tomu „Masa i władza”. Postawił na scenie rzędy regałów bibliotecznych. Między nimi (a ściślej, przy wtłoczonych między nie domowych sprzętach) potoczyła się rzecz o książkowym molu, który popada w samoniszczące szaleństwo pod ciężarem życiowej trywialności; całość została poprzedzona wykładem tegoż erudyty o odmóżdżającej roli mas. Skontrapunktowane wątki – wykład ze wszystkimi ekscentryzmami i „życie”, czyli skutki niebotycznego kontrastu między górnolotnym profesorem a jego przyziemną gospośią, potem połowicą – zostały pokazane pomysłowo i zabawnie. Reżyser umiał uciec od dosłowności. Intelktualistę wy-

grodził klęskę męsko-damską, aranżując wizytę samego Konfucjusza w jego bibliotece; niezaspokojonej małżonce przygotował kolację z przystojnym subiektem przy restauracyjnym stole będącym od razu – dla przyspieszenia – łóżkiem. Dostaliśmy ujętą w efektowne skróty pół zjadliwą, pół ciepłą opowieść o skazanej na niepowodzenie koegzystencji dwójga niedopasowanych ludzi. Jan Peszek cudnie narysował Kiena – „Büchermenscha” przenikliwego i dziecinnie bezradnego. Iwona Bielska – misternie i odważnie bujną kobietę zatopioną równie głęboko w kuchennie-garderobiano-sypialnianym modelu wartości, co mąż w książkach. Stający między nimi szpicłowaty dozorca Krzysztofa Globisza godnie reprezentował nadchodzącą chamską masę skazującą ich oboje (!) na obłąd.

Pewnie ta pierwsza część nie powinna trwać aż dwie i pół godziny. Trzeba by ją też lepiej zabezpieczyć przed groźbą obsunięcia w farsę pod wpływem ciśnienia publiczności. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mamy dojrzałe przedstawienie, bez hysterii stawiające diagnozy, otwierające aktorom pole do mądrego popisu.

GAŃ DO WYJŚCIA

Nic z tego nie zostało po przerwie. Wygnany z domu, pogrążający się w obłądnie Kien przepoczwarzył się w pocziwego Filutka, jakby Peszkowi nie stało środków na eskalację dramatu. Subtelna opowieść o rozjeżdżaniu się intelektu z rzeczywistością zmieniła się w wodewilową głupotkę

o wyciąganiu pieniędzy z naiwnego inteligenta przez gadatliwego cwaniaczka i skorumpowanego policjanta. Miśkiewicz, tak pięknie przedtem skupiony na niuansach portretów, ograniczył się do łopatologicznego referowania fabuły. Znikło to, co stanowiło o klasie widowiska: brawurowe skróty, sarkazm, żart. Nie znalazł kontynuacji ów wykład z pierwszej części – myślowy punkt odniesienia. Jakby teatrowi przeszła ochota na dokończenie planu zwiedzania wybranego kawałka świata i zaczął gnać do wyjścia byle prędzej.

Zabrakło czasu? Gdzie tam, pierwszą datę premiery ogłoszono z pół roku temu. Może więc syndrom przenoszonej ciąży? Teatrem polskim nigdy w takim stopniu jak dziś nie trzęsła gorączka wściekłego rozkojarzenia. Niczego nie da się wypuścić w terminie, nad żadną pracą niepodobna porządnie się skupić, produkuje się niedonoski albo przenoski. I wszyscy pokornie uznają, że nie ma rady, takie czasy, nie rozumiejąc, że tracą przede wszystkim sami. Może to nieszczęsne „Auto-da-fé”, z którego po roku dłu-baniny jeden z najciekawszych dziś twórców zrobił imponujące pół i padł, będzie wreszcie impulsem do powszechnej kuracji?

JACEK SIERADZKI

„AUTO-DA-FÉ” ELIASA CANETTIEGO,
PRZEKŁAD EDYTA SICIŃSKA,
ADAPTACJA I REŻYSERIA PAWEŁ MIŚKIEWICZ,
SCENOGRAFIA BARBARA HANICKA,
MUZYKA O. GRANDIER, STARY TEATR W KRAKOWIE

mistrzostwo
na piątkę
warto
ujrzeć
kiepskie
dno